

Ekwilibrystyka przemocy

"Dyktanda" w reż. Any Nowickiej w Teatrze Barakah w Krakowie. Pisze Olga Katafiasz w teatralny.pl

Już we foyer sceny przy ulicy Paulińskiej z głośników słyszymy ostrzeżenie: wszystkie nasze rozmowy są nagrywane. Dla bezpieczeństwa, rzecz jasna. Potem robi się jeszcze dziwniej: przez



godzinę publiczność zamknięta zostaje w ciasnej przestrzeni, a czwórka aktorów albo jest ofiarą bliżej nieokreślonego, lecz groźnego systemu, albo wręcz przeciwnie – służy mu, zmuszając widzów do poddania się opresji.

Cwórka aktorów albo jest ofiarą bliżej nieokreślonego, lecz groźnego systemu, albo wręcz przeciwnie – służy mu, zmuszając widzów do poddania się opresji.

Niby abstrakcyjnej – bo nikt nikomu

bezpośrednio nie zagraża – ale zadziwiająco sugestywnej. Spektakl Teatru Barakah to seans przemocy, takiej, która tylko pozornie pozostaje na poziomie języka.

Ana Nowicka czyta *Dyktanda* Stanisława Lema nie jako ćwiczenia z ortografii (Lem początkowo pisał krótkie, zabawne teksty, by uczyć poprawnej pisowni swojego siostrzeńca), ale z przemocy właśnie. Pierwszym przekazem, jaki otrzymujemy po wejściu do sali, jest informacja, że niepoprawni uczniowie, nieradzący sobie z ortografią, zgodnie z zarządzeniem ministra edukacji zostaną wysłani do obozów koncentracyjnych. Robi się surrealistycznie, ale i niebezpiecznie.

Dwie kobiety i dwóch mężczyzn skanduje ów komunikat jeszcze kilkakrotnie, niczym refren, a owa powtarzalność ma nie tylko organizować strukturę przedstawienia (istotnie, wyznacza jego rytm), ale też przypominać o sytuacji, w jakiej się wszyscy znajdujemy. W zamkniętym pomieszczeniu, wśród – w większości – obcych ludzi. Obserwowani przez aktorów, a może jeszcze kogoś, kogo istnienie jedynie przeczuwamy. Nie jest przyjemnie.

Nie jest przyjemnie, mimo że teksty wydają się zabawne, jak choćby ten o mężobójczyni: „Żona pana Ambrożego nadziała ruski pieróg drzazgami i potłuczonym szkłem. Pan Ambroży konał trzy dni. [...] Wieczorem rzekł kat przy kapuśniaku do żony: »Ale ci była dziś egzekucja, wieszałem mężobójczynię i mówię ci, żono, że uśmiełem się jak suseł«”. Albo inny, zaskakujący pointą: „Móźdzek mojej przyjaciółki, jej rączki, brzusek i nóżki pokryte są szczecinką, co do mnie – jestem tylko nieznacznie kostropaty. W dzieciństwie cierpiałem na szczękościsk, padaczkę, wodogłowie i czkawkę. [...] Obecnie mam odnóża przepiękne, choć lewe jest krótsze od prawego, ale dla wyrównania prawe jest znacznie grubsze. Uszy miałem prześliczne, lecz mi je mrówki zjadły. [...] Zważywszy wszystko, rzecz mogę, że zmyślny ze mnie jaszczur”.

W przedstawieniu Any Nowickiej to, co mogłoby uchodzić za – ekscentryczne, co prawda, ale jednak urocze – opowiadki dla dzieci i dorosłych, staje się niebezpieczną grą. Tych opowieści, podobnych do przytoczonych powyżej, słuchamy przecież z rosnącym napięciem. Wynika ono z nieustannego balansowania pomiędzy tym, co jeszcze zabawnie niedorzeczne, a tym, co już wymyka się z bezpiecznego kokonu surrealizmu i staje się bliskie naszej pamięci o systemach totalitarnych lub jeszcze gorzej – naszej wiedzy o tych obecnych. Bo ów początkowy komunikat (brzmi dość surowo:

„Zgodnie z nową ustawą wydaną przez ministerstwo oświaty, zamiast złych stopni za błędy ortograficzne młodzież szkolna będzie kierowana do obozów koncentracyjnych. [...] Przewiduje się uwięzienie do lat czterdziestu”) nie jest wypowiedziany z dystansem czy ironią, ale jak najbardziej serio, a owemu tonowi służy również kształt plastyczny przedstawienia.

Owo przełożenie Lemowskich makabresek na język przedstawienia wydaje się nader trafne: aktorzy brawurowo wykonują kolejne, niekiedy dość zaskakujące zadania. W ciasnej sali przy Paulińskiej czwórka aktorów, ubranych w przedziwne kostiumy, nieprzypominające codziennych ubrań, uszyte z grubego płótna i zniekształcające sylwetki, nie tylko wypowiada teksty Lema, ale również wykonuje szereg precyzyjnie zaplanowanych układów choreograficznych. Najpierw z ciemności wyłaniają się w pozach, jakie po dłuższym czasie muszą wywoływać ból – powykręceni, przyklejeni do starych kafłowych ścian. Nie inaczej będzie w następnych odśłonach, kiedy ich ciała będą albo wyginane w każdy możliwy sposób, albo wleczone po podłodze. Tylko w nielicznych momentach aktor zachowuje fizyczną swobodę, a ciało nie jest kolejnym narzędziem opresji – i jednocześnie jej podmiotem („Słówka błędnie wypisane będzie się młodzieży wypalać na czole białym żelazem. [...] Komendant obozu będzie dysponował bogatym repertuarem kar: włosiennicą, madejowym łóżem, hufnalami do podkuwania, a także wygłodzonymi lwami, które zgodnie z zarządzeniem ministra będą niepoprawnym wyrywały nogi z miejsca, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę”).

Owo przełożenie Lemowskich makabresek na język przedstawienia wydaje się nader trafne: aktorzy brawurowo wykonują kolejne, niekiedy dość zaskakujące zadania. Odniosłam jednak wrażenie, że układowi tekstów brakuje wyraźnej dramaturgii – utrzymują uwagę widza dzięki własnej atrakcyjności, nie zaś dzięki wyraźnej koncepcji układu. W godzinny spektaklu takie zaniechanie grozi pewną mechanicznością odbioru. Zwłaszcza jeżeli tak dobitnie określa się temat i konstruuje tak ostro sytuację widza-podglądacza, który za chwilę może stać się jednym z osadzonych w obozie dla tępych uczniów. Dziwność i potworność, które mają – jak się zdaje – potężnieć z dyktanda na dyktando, stają się poręcznym chwytem. A to sprawia, że po powrocie do domu natychmiast wyciągamy z półki Lema, zaś o spektaklu zapominamy. Trochę szkoda, bo sposób na lekturę Dyktand, jaki zaproponowała Nowicka, jest naprawdę oryginalny – tyle że jego efektywność nie wypełni ani nie zastąpi dramaturgii przedstawienia.

9-07-2014